

# Wojciech Tomasiak

---

"Peereliada : komentarz do słów :  
1976-1981", Michał Głowiński,  
Warszawa 1993 : [recenzja]

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 85/2, 245-247

---

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Powyższe konstatacje prowokują do dalszych pytań: jakie informacje dałoby się wyczytać z tytułów pozaliterackich dzieł sztuki (muzyka, malarstwo) w romantyzmie? Jak w takim kontekście przedstawiałyby się tytuły z dziedziny literatury? Czy inne prawa rządzą pod tym względem sztukami semantycznymi i niesemantycznymi? Oczywiście jest to temat na osobną książkę z pogranicza różnych dyscyplin. Czy książka taka przyniosłaby rozstrzygnięcie na wystarczająco wysokim poziomie uogólnienia, do którego chciałby zmierzać Piechota? Rozstrzygnięcie takie nie jest łatwe. Tytuł utworu, jak pisał Jurij Łotman, wiąże się z problemem stanu początkowego<sup>2</sup>. Jest to domena metafizyki.

Maria Piasecka

Michał Głowiński, PEERELIADA. KOMENTARZE DO SŁÓW. 1976–1981. Warszawa 1993. Państwowy Instytut Wydawniczy, ss. 390+2 nlb.

*Peereliada* jest drugim już tomem zapisków Michała Głowińskiego opatrzonych wspólnym podtytułem *Komentarze do słów*. Złożyły się na ten tom (podobnie jak na wydane wcześniej *Marcowe gadanie*<sup>1</sup>) materiały z 5 lat – tym razem z okresu 1976–1981. Przeznaczeniem zapisków, które wypełniają oba tomy, miała być szuflada. Pisanie „do szuflady” stanowi typ zachowań społecznych związanych nierozdzielnie z istnieniem tematów-*tabu*. Opróżnianie szuflad (gdy *tabu* z tych czy innych powodów przestaje obowiązywać) niekiedy rozczarowuje, a w każdym razie – nie zawsze daje wartościowe efekty. Decyzję Michała Głowińskiego należy w tym względzie uznać za jedną z najfortunniejszych. Zaowocowała ona bowiem książkami, które z pewnością nieprędko przestaną być podstawowym źródłem wiedzy o specyfice peerelowskiego mówienia.

Głowiński rozpoczyna nową serię komentarzy w momencie dość przypadkowym. 14 sierpnia 1976, dzień po wprowadzeniu „biletów towarowych” na cukier, nie był na pewno w naszej najnowszej historii datą szczególną. Nie był w kontekście tego, co działo się (a także – co oficjalnie mówiło się) wcześniej i później: w czerwcu przeszła przez Polskę gwałtowna fala strajków i robotniczych protestów (za które odpowiedzialnością władza obarczyła „warchołów i wichrzycieli”), we wrześniu, po procesach ursuskim i radomskim, zawiązała się natomiast KOR (co oficjalna mowa zwyczajnie zbyła milczeniem). W 5-leciu oddzielającym zapiski *Marcowego gadania* i *Peereliady* dni takich jak 14 sierpnia 1976 znaleźć by można krocie. I właśnie w wyborze tej przypadkowej daty wyraża się najpełniej zamysł, jaki przyświecał Głowińskiemu – opisać peerelowską polszczyznę w jej powszednim funkcjonowaniu i z najbliższej perspektywy.

Oczywiście autora *Peereliady* interesuje również nowomowa w okresach podwyższenia gotowości bojowej i propagandowego natarcia („kampanii”), ale oba stany traktuje on jako dopełnienie tego, co składa się na codzienność komunistycznego mówienia. Zasadnicza część komentarzy dotyczy więc słów, na których peerelowski nalot ujawnia się dopiero po dłuższej obserwacji. Głowiński z wielką przenikliwością przedstawia procesy, które doprowadziły do zawłaszczenia przez nowomowę setek słów i formuł oraz przekształcenia ich w instrumenty propagandowego oddziaływania.

Oto – dla przykładu – przymiotnik „społeczny”, którego funkcjonowanie w PRL daje świadectwo „programowej etatyzacji świadomości” (s. 9). U schyłku lat siedemdziesiątych znika on z tradycyjnych połączeń wyrazowych, gdzie konsekwentnie bywa zastępowany przez pochodne „państwa” („państwowy”, „państwowość”). Zubożenie zakresu szło w parze z degradacją pojęcia „społeczeństwo”, którą częściowo zahamował sierpień 1980. Pojawienie się formuły „umowa społeczna” i nazwanie tak porozumienia władz z robotnikami dokumentowało zmianę partyjno-państwową optyki. Oznaczało odejście od wizji społeczeństwa, jaka charakterystyczna była dla mowy okresu przedsierpniowego: społeczeństwa, którym kieruje partia i z którym w tej sprawie nie trzeba zawierać jakichkolwiek umów. W peerelowskiej mowie „społeczne” miało uchodzić za synonim „państwowego” (ale nie odwrotnie). W krystalizującym się po Sierpniu języku solidarnościowym synonimia ulega zakwestionowaniu, a „społeczne” bierze rewanż na „państwowym”. Znaczy bowiem: niezależne, nie poddane odgórnej kontroli, zrodzone z inicjatywy „Solidarności”. Na to semantyczne przesunięcie propaganda partyjna musiała odpowiedzieć powołaniem do życia złoże-

<sup>2</sup> J. Łotman, *Struktura tekstu artystycznego*. Przełożyła A. Tanalska. Warszawa 1984, s. 298–310.

<sup>1</sup> M. Głowiński, *Marcowe gadanie. Komentarze do słów. 1966–1971*. Warszawa 1991.

nia „ogólnospołeczne”, które miało sugerować, że broniąc interesów „społecznych” „Solidarność” realizuje faktycznie własne, partykularne cele (s. 8–9, 153–154, 180–181, 233, 345–346)<sup>2</sup>.

Obserwacja peerelowskiej codzienności pozwala Głowińskiemu znakomicie uchwycić zmiany dokonujące się w obrębie oficjalnego mówienia. Zmiany te wymuszała sytuacja, jaka zaczęła kształtować się w Polsce w końcu lat siedemdziesiątych. Postawiła ona komunistyczną propagandę „w położeniu, jakiego nie przewidywali jej promotorzy i patroni” (s. 6). Szukając wyróżników peerelowskiej mowy z czasów Sierpnia należałoby wskazać na to, że musiała ona w coraz większym stopniu liczyć się z mową konkurencyjną – językiem opozycji politycznej, z którym utożsamiała się znakomita większość społeczeństwa. Jest to sytuacja, jakiej nie doświadczyła stalinowska nowomowa, ciesząca się pozycją absolutnego monopolisty. Mowa epoki późnego Gomułki, a jeszcze wyraźniej okresu gierkowskiego pozycję tę bezpowrotnie traci. W sierpniu 1980 r. uformował się już układ, który bardzo poważnie zagroził podstawom komunistycznego mówienia – skazał je mianowicie na rywalizację z językiem „Solidarność”.

Głowiński konsekwentnie śledzi w tej rywalizacji zachowanie się jednej tylko strony, tj. „PZPR-owskiego gładzenia”. Pokazuje następstwo zmienionej sytuacji – zwiększającą się w nowomowie rolę chwytów refutacyjnych. Zadanie posierpniowej propagandy polegało na tym, by za pomocą rozmaitych kontrsiłów, kontrformuł i kontrhaseł „dawać odpór” wypowiedziom przeciwnika. Matrycą oficjalnej enuncjacji staje się konstrukcja „tak, ale”, ekwiwalentna wobec czasownika „prześlaniać” (s. 185–186). Mówienie oficjalne nabiera w zauważalnym stopniu charakteru mówienia prowokowanego, wymuszanego przez posunięcia przeciwnika politycznego. W stalinowskiej wersji propagandy głównym sposobem reagowania na zjawiska niepomysłne było przemilczenie. W latach siedemdziesiątych staje się to anachronizmem. Milczenie mogłoby bowiem oznaczać, że w sferze społecznego komunikowania partia rezygnuje z pełnienia swej „kierowniczej roli”.

Zapiski Głowińskiego są świadectwem tego, jak ciśnienie rzeczywistości niszczyło peerelowskie schematy wyśłowienia, jak pezetpeerowska mowa zmuszana była raz po raz przyjmować postawę defensywną i rozpaczliwie bronić pozorów swej wiarygodności. *Peereliada* jest monografią nowomowy, która weszła w fazę głębokiego kryzysu; jest kroniką komunistycznej propagandy działającej w warunkach, do których nie mogła być przygotowana i którym za wszelką cenę usiłowała sprostać.

Mówienie wobec (przeciwnika, choć nie – do niego) to peerelowskiej propagandy aspekt przygodny, mówienie dla („starszego brata”) to, przeciwnie, jej rys stały. Nowomowa, bez względu na koniunkturalne odształcenia, służy za proberz prawomyślności. Lojalność względem mocodawcy nie musi być w niej deklarowana wprost. I chociaż w peerelowskim mówieniu wiele znalazłoby się takich bezpośrednich deklaracji, to jednak istotniejsze znaczenie należy przypisać zapewnieniom składanym jakby mimochodem, w wypowiedziach z pozorów przeznaczonych dla adresata „u góry”.

40-minutowe przemówienie premiera Jaruzelskiego wygłoszone w polskim parlamencie w lutym 1981 spowodowało, że 26 dywizji rozlokowanych w sąsiedztwie naszej wschodniej granicy obniżyło stan gotowości bojowej: na przygotowanie ewentualnej inwazji potrzebowały odtąd nie kilku godzin, lecz paru dni. Informujący o tych wydarzeniach „Newsweek” z 23 lutego niósł w tytule artykułu wymowny komentarz: *Poland Buys Some Time*. Co takiego powiedział na Wiejskiej polski generał, że zdołał uspokoić kremłowskie kierownictwo i zażegnać niebezpieczeństwo przyjscia nam z „bratnią pomocą”? Jaruzelski ostrzegał przed „wrogimi siłami”, które „rozszerzają swoją aktywność przeciwko socjalizmowi” i wzmagają „proces destrukcji”; groził najgorszym z możliwych następstw pogłębiającego się kryzysu – „konfliktem bratobójczym”. Roztaczał ponadto obraz Polski, która w obcych planach przewidziana została do roli „konia trojańskiego społeczności socjalistycznej”, zapewniając zarazem, że planów tych nie uda się zrealizować, a Polska „pozostanie wiernym członkiem Układu Warszawskiego”.

Deklaracją lojalności nie jest oczywiście tylko końcowe sformułowanie, dobitne i wyraźnie zaadresowane. Jest nią całe przemówienie Jaruzelskiego, zbudowane z nowomownych prefabrykatów. Rzecz nie sprowadza się jednak do użytych słów, które można wymieniać w dość szerokim zakresie. Istota peerelowskiego mówienia „do góry” tkwi bowiem w akceptowaniu takiej wizji

<sup>2</sup> Degradację „społeczństwa”, o jakiej pisze Głowiński, zdają się potwierdzać losy przymiotnika „popularny”. W latach siedemdziesiątych nabiera on w polszczyźnie znaczeń zdecydowanie negatywnych. Miano „popularnego” nadawało się bowiem towarom w najgorszym gatunku: papierosom – których nie dało się palić, proszkowi – który nie prał, herbacie – po której brało na wymioty, itp. Mój znajomy rusycysta – pamiętam – żartował wtedy, że „popularna” jest także nasza władza.

procesów społecznych, które określa się zwykle jako spiskową (ewentualnie – policyjną) teorię dziejów. Lutowe *exposé* premiera-generała przekonywało Kreml, że polskie władze oceniają sytuację właściwie, a zatem – zachowują wiarygodność. Przemówienie rodziło nadzieję, że polskie problemy znajdują „polskie rozwiązanie”.

Codziennosc nowomowy, przedmiot komentarzy Głowińskiego, wypełniają dziesiątki różnych wypowiedzi wygłaszanych, podobnie jak pamiętne *exposé*, z myślą o adresacie „u góry”. *Peereliada* przynosi bogatą kolekcję formuł, w których badacz spiskowej teorii dziejów znajdzie znakomity materiał przykładowy. Materiał ten ujawnia pewną prawidłowość: im wyraźniej jakaś enuncjacja adresowana jest do „starszego brata”, tym mocniej odciska się na niej policyjne widzenie świata. Spośród motywów, jakie pojawiają się w propagandowym mówieniu, Głowińskiego szczególnie interesuje właśnie myśl o „obcej inspiracji”, o tym, że „przeciwnik jest na żołdzie, czerpie pieniądze z ciemnych źródeł” (s. 47); popularny wariant tej myśli to pytanie – „kto za nimi stoi” (s. 167). Przeciwnik peerelewskiego porządku miał niejedno imię: „obcy” (s. 30), „renegaci” (s. 46), „gracze polityczni” (s. 52), „dysydenci” (s. 56), „mydłki polityczne” (s. 85), „siły antysocjalistyczne” (s. 161, 174, 191), „pośrednicy” (s. 203), „kosmopolici, nacjonałści” (s. 217), „uzurpatorzy” (s. 246), „klasowi przeciwnicy” (s. 259), „ekstremiści” (s. 277), „gnojki polityczne” (s. 296), „piąta kolumna” (s. 311), „kuglarze” (s. 330), „leaderzy” (s. 334), „ekstrema” (s. 338). Im bliżej w tych określeniach stylistyki TASS-owskiej, tym większa pewność, że służyć one miały uspokojeniu przywódców „bratniej partii”.

*Peereliada* świetnie unaocznia jeszcze inną właściwość oficjalnej polszczyzny lat siedemdziesiątych – była ona mową z rozdzielnika. W programowaniu użyć poszczególnych słów i wyrażeń nie mała rolę odgrywały doniesienia TASS. Dlatego za symbol gierkowskiej propagandy mogą uchodzić formuły odnoszące się do inwazji na Afganistan, zwłaszcza te: „ograniczona pomoc radziecka” i „dalsza normalizacja” (s. 123–124).

Czytałem tę książkę z wielką przyjemnością, bo traktuje o czasach i słowach, które dobrze pamiętam<sup>3</sup>. Lekturowej satysfaji dostarczała mi również jej forma – znakomicie odświeżająca tradycję pisania naukowego. *Komentarze do słów 1976–1981* wykazują istotne pokrewieństwo z dziennikiem intymnym. Dość wskazać na datyienne (integralną składową poszczególnych zapisków), luźną kompozycję (porządek materiału narzuca tu jedynie chronologia) i założony brak adresata (szuflada!). Z drugiej strony, konsekwentna monotematyczność w połączeniu z jasnością wyводу i precyzją języka każą myśleć o najlepszych wzorach pisarstwa eseistycznego, gdzie bliski kontakt z odbiorcą odgrywa niestychanie ważną rolę. Wiek XX, jak wiadomo, zniósł granice między nieadresowanym dokumentem a wyraźnie skierowanym przekazem, może najradzykalniej w literaturze, ale i w jakimś stopniu w nauce, głównie w humanistyce, w której coraz śmieiej odchodzi się od sterylności narracji „niczyjej”. Tradycyjny, ubiegłowieczny model pisania naukowego miał być przeciwieństwem wypowiedzi sytuacyjnie uwarunkowanej. Zakładał, że autor wie na dany temat wszystko i niczym nieomylny narrator realistycznej powieści może swobodnie poruszać się ponad przedstawianymi sprawami. *Peereliada* jest pisana z pozycji kogoś, kto tkwi wewnątrz opisywanego świata i ma świadomość nieuchronności takiego zacieśnienia perspektywy. We wstępie do *Marcowego gadania* znalazły się słowa, które w równej mierze odnieść można do *Peereliady*:

„Nie dążyłem [...] do ogarnięcia pełnego materiału, nie zastanawiałem się nad tym, czy omawiam najbardziej typowe i najbardziej reprezentatywne okazy propagandowego mówienia. Pisałem o tym, co mnie danego dnia zainteresowało czy po prostu rzuciło się w oczy”<sup>4</sup>.

Naszkiwowana strategia badawcza jest, rzecz jasna, do pewnego stopnia pochodną czasów, w których losami nauki kierował urząd z ulicy Mysiej. Trudno jednak nie zauważyć, że na te uwarunkowania nakłada się decyzja autora – by nie wyrzekać się subiektywności ujęcia. Przygotowując publikację książki Głowiński nie wprowadził do zapisków żadnych zmian, pozostawiając również te, które „nietrafnie komentowały wydarzenia” (s. 6). Przypomniał w ten sposób prostą prawdę, że wypowiedź naukowa nigdy nie przestaje być osobistym dokumentem.

Wojciech Tomasiak

<sup>3</sup> Zapadły mi w pamięć różne sformułowania, jedno wszakże szczególnie mocno. Posłużył się nim Kazimierz Barcikowski w telewizyjnym wystąpieniu po 1-godzinnym strajku ostrzegawczym proklamowanym przez „Solidarność” w październiku 1980. Otóż wicepremier potępił działania przywódców związkowych i oskarżył o „gwałcenie litery i ducha” porozumienia z 31 sierpnia. Ten obraz związkowców, którzy gwałcą literę, a później ducha, prześladuje mnie do dzisiaj.

<sup>4</sup> Głowiński, *Marcowe gadanie*, s. 3.